



Mirosław Derecki

LONDYŃSKIE SPOTKANIA:

OPOWIEŚĆ O TYM, JAK CESIEK-BANDYTA
SPRAŁ PANA STASIA PO PYSKU

Wszystko zaczęło się od tego, że pana Stasia nabili po mordzie. Potem, gdy bliżej się wyjaśniło, co i jak, to już wiadomo było, że nie „nabili”, tak ogólnie - znaczy się, tylko nabili pana Stasia Cesiek-Bandyta; zdarzenie miało miejsce w pubie „Princess Victoria” i pan Stasio dostał po ryju nieprzypadkowo: to było logiczne działanie, a nie jakiś tam zwykły, chuligański wybryk Ceśka.

No, ale początkowo jeszcze dokładnie szczegółów nie znaliśmy, właściwie nic jeszcze nie wiedzieliśmy o całym incydencie, w ogóle nic nie wiedzieliśmy, a tylko, jak by tu powiedzieć, dziwnie nam było, że już od paru dni pan Stasio nie pojawia się na budowie, na Cobb Street. Ale znowu nie było w tym nic takiego dziwnego, bo przecież nie raz, nie dwa zdarza się tak, że jak pan Stasio wygra w greckim klubie na Sheperd's Bushu w pokera kilka funtów, to przez cały wieczór „Princess Victoria” do niego należy, a potem jeszcze chłop wypuszcza się „w Polskę”, czyli raczej „w Londyn”, przepija całą wygraną co do grosza, lata po wszystkich kumplach i od nich pożyczka po funcie na dalsze picie, a jak się kumple rozochocą, to już oni jemu z własnej woli stawiają i tak dalej i tak dalej, aż się po paru dniach budzi pan Stasio gdzieś na drugim końcu Londynu, u nieznanym ludzi, a zmarnowany jest wówczas doszczętnie i aż dziw bierze, że przy swoich sześćdziesięciu latach od takiego życia nie wygarnął. Z drugiej strony trudno byłoby panu Stasiowi wygarnąć, bo ostatecznie kiedy pije, to pije, a kiedy nie pije - pracuje na budowie, na świeżym powietrzu, zaś świeże powietrze jest najlepsze dla zdrowia. Poza tym znany z niego osiłek - chociaż kucyk, skubaniec niby pigmej jaki - i wydaje się, że poradziłby sobie nawet z Witkiem-Rybakiem, chociaż to chłopak młody i swego czasu w Ludowym Wojsku Polskim mięsem i masłem karmiony. Ale znowu pan Stasio w młodości na Wołyniu zatrudniany był w bokserkim klubie w charakterze gruszki treningowej, więc kondycję musiał jeszcze z tamtych czasów wynieść i - jak powiada pan Henio - jeśli go wówczas nie dobili, to i teraz żadna cholera go nie weźmie. Prawdę mówiąc pan Stasio twierdzi, że był bokserem a nie gruszką i w dodatku

mistrzem swojego okręgu, ale to wszak fałsz jest oczywisty, nigdy nikt poważny w to nie wierzył, no a ostatnie wydarzenie dobitnie podkreśla, że bokserem nigdy nie był, bo by się Ceśkowi-Bandycie w porę uchylił.

Zresztą, mniejsza z tym, nie wchodzmy ludziom do duszy w zabłoconych kaloszach.

W każdym razie na początku nic nie było wiadomo, tylko to, że pana Stasia nie ma na robocie i że Szeff się z tego powodu gniewa. Przeszły dni tak trzy-cztery, a wtedy zaczęliśmy się już naprawdę niepokoić, bo wszystko ma swoje granice, picie i bumelanctwo też. Raz w czasie przerwy obiadowej - jak któryś tam kolejny raz odwiedzałem Dzidzia - Witek ruszył nawet głupim dowcipem, że może pana Stasia Grecy gdzie po cichu w tym ich klubie zaciukali, bo to naród honorowy, o za szczególną obrazę sobie poczytują, jak im przy pokerze karta nie idzie, ale pan Henio oburzył się i powiedział: „Nie gadałbyś głupot, Witek, i tak wszyscy wiedzą, że jesteś głupi, to nie musisz nas jeszcze tutaj na miejscu, przekonywać”. Jeszcze przez jeden dzień nic nie było wiadomo, a potem sam Witek przyniósł wiadomość, że go spotkał jeden Anglik, hydraulik na Sheperd'a Busha, i powiedział, że kilka dni temu w pubie „Princess Victoria” na Uxbridge Road był „incydent”, to znaczy pana Stasia nabili po mordzie. Było to możliwe, ale nie zupełnie prawdopodobne, bo jak już zostało powiedziane, pan Stasio jest silny i mało komu pozwoliłby sobie dołożyć, w każdym razie nikomu ze znajomych osób, a tylko same znajome osoby przychodzą na piwo i whisky do „Princess Victoria”.

To nasze rozumowanie byłoby zasadniczo słuszne i logiczne, gdyby nie fakt, że zapomnieliśmy o Ceśku-Bandycie. No, ale o Ceśku nikt nie pamiętał, bo ten przez ostatnie pół roku ukrywał się przed Anglikami gdzieś na prowincji. To znaczy nie tyle, żeby się ukrywał po dokonaniu jakiegoś przestępstwa, w obawie przed karą, więzieniem czy czymś w tym rodzaju. Cesiek był ostatnio pod tym względem czysty jak łza, w każdym razie gdyby zrobił coś złego, nigdy by się Anglikom nie dał złapać, za mądry, za doświadczony był on na to. Cesiek ukrywał się na prowincji ze swoim pijaństwem, bo przez pijaństwo najgorzej dotąd cierpiał. Cierpieć zaczął jeszcze w Polsce i to w głupi sposób, przez żonę. Żona ceniła sobie różne męskie walory Ceśka i nawet przeciwko rozróbom, przeciw bijatyce nie miała ogólnie nic na przeciw, bo zresztą z odpowiedniego szczecińskiego środowiska pochodziła, ale podobno nie mogła ścierpieć, gdy się jej Cesiek pijany do łóżka pakował. „No nie mogę, nie mogę - mówiła, - jak taki przystojny chłop się koło mnie kładzie, a z gęby mu jedzie jak z wychodka”. (Ja to wszystko wiem stąd, że Cesiek się kiedyś po pijanemu wyzalał Witkowi-Rybakowi).

Drugi raz cierpiał Cesiek z powodu ludowej floty handlowej, dokładniej z powodu wywołania po pijanemu groźnego wypadku na statku, na którym pływał. Cierpiał, bo w obawie przed karą uciekł w najbliższym zachodnim porcie ze swojego drobnicowca i teraz -

jak twierdził - cierpieniem była dla niego tęsknota za żoną i ojczyzną. Wielokrotnie zaś cierpiał Cesiek-Bandyta z powodu pijaństwa w Anglii, bo często był tutaj sądzony i zamykany za pijackie rozróbki, a ostatnim razem Anglicy zdenerwowali się już na dobre i oświadczyli, że przy następnym wykroczeniu zostanie deportowany do Polski. No a tam już tylko czekają na niego z wyrokiem. Nigdy dotąd nie wiedziałem, że można kogoś deportować za pijaństwo, ale tak musi być, skoro Cesiek mówił. Koniec końców Cesiek wpadł na pomysł, że znają go tylko w Londynie, a na prowincji będzie osobnikiem całkiem nowym i nieznanym, a więc zanim uznają go tam za notorycznego pijaka i awanturnika, upłynie sporo wody. Czyli, to przy pewnym pomyślunku nawet tych niby takich mądrych Anglików można wykołować.

Tak, nie braliśmy Ceśka-Bandyty pod uwagę i to był nasz błąd. Ale w końcu wszystko się wyjaśniło, jak należy. Nie wcześniej jednak, nim z Witkiem zabraliśmy się do rozgryzienia tej całej dziwnej sprawy. A sprawę trzeba było rozgryźć, bo zaraz po tym, jak Witek przyszedł z wiadomością, do Szefa zgłosił się sam „manager” „Princess Victoria” (a był to jego znajomy) i oświadczył, że on sobie wyprasza podobne „incidents”, bo źle rzutują na opinię jego zakładu i tylko po znajomości nie oddaje całej sprawy w ręce policji. I że dopóki całego zajścia się nie wyjaśni, on zabrania wszystkim znajomym pana Stasia i tego drugiego, nie znanego mu bliżej łobuza, wstępu do swojego pubu. Była to jawna niesprawiedliwość, bo ostatecznie dlaczego cały „staff” z budowy - który od lat w soboty i niedziele pijał piwo tylko w „Princess Victoria” - miał cierpieć za to, że pan Stasio pozwolił jakiemuś nieznanemu osobnikowi dać sobie w morde, no ale buntować się nie było co, unosić się honorem i zmieniać lokalu - też nie, bo tak się akurat składało, że wszyscy mieszkali w pobliżu baru, a w okolicy nie było innej knajpy. Co do drugiej części oświadczenia „managera”, to była ona wyjątkowo głupia, bo jak można zabronić wstępu do baru znajomym „nieznajomego osobnika”? Ale mniejsza o to, trzeba było przystąpić do działania.

Hrabia od razu stwierdził stanowczo, że on się do prowadzenia śledztwa nie nadaje, bo to poniżej jego godności osobistej. Dzidzio wykręcił się oświadczając, iż wyjeżdża z ciotką no weekend nad morze. Szef i pan Henio odpadali jako osoby na stanowiskach kierowniczych. Pozostał Witek, któremu udowodniono, że skoro przyniósł złą wiadomość, musi za to ponosić konsekwencje, to znaczy ciągnąć rzecz, która i tak już się do niego przykleiła - do końca. Witek chciał wszystko zwalić na mnie, ale wybrał złą drogę, bo do staffu się przecież nie zaliczałem, wódki z nikim w „Princess Victoria” nie piłem, a byłem tylko tak zwanym miłym gościem, kumplem kumpla z roboty, czyli Dzidzia. A że się zgodziłem towarzyszyć Witkowi, to już była tylko moja dobra wola i tak zwana dziennikarska ciekawość życia.

Tak zresztą czy inaczej - rozgryźliśmy sprawę. A przeprowadziliśmy to w sposób następujący: najpierw wzięliśmy pod uwagę wszystko, co wiemy, a wiedzieliśmy, że pan Stasio dostał od kogoś po mordzie - od kogo nie wiadomo - w pubie „Princess Victoria” na Sheperd's Bushu. Poza tym wiedzieliśmy, że to nikt ze znajomych, bo nikomu ze znajomych pan Stasio by się nie dał nabić, ale tutaj też tkwił nasz błąd, bo zapomnieliśmy o Ceśku-Bandycie. Gdybyśmy pamiętali o Ceśku, to byśmy spróbowali go odszukać i wszystko by się wyjaśniło bez większych ceregieli. Bez większych ceregieli wyjaśniłoby się również wszystko, gdybyśmy poszli do pana Stasia i zapytali, kto go nabił, ale to w ogóle nie mogło wchodzić w rachubę: pan Stasio był poszkodowany na honorze i nie tylko, że by się do nas nie odezwał, ale takie pytanie byłoby wręcz chamskie. Sprawę całą należało załatwiać w delikatnych jedwabnych rękawiczkach.

Myśleliśmy i myśleliśmy aż w końcu Witek wpadł na pomysł, żeby udać się na miejsce wypadku i tam, w pubie, przeprowadzić dochodzenie. I trzeba od razu powiedzieć, że był to pomysł najprostszy wprawdzie, ale i najcelniejszy. Nic dodać nic ująć, tak właśnie należało postąpić.

Gdy weszliśmy do pubu, w „salonie” było jeszcze pusto i tylko przy maszynie do przegrywania pieniędzy stał kulawy Miszka. Ukrainiec z dziada pradziada, syn białogwardyjskiego oficera, robotnik budowlany na rencie, chłop młody jeszcze, ale ciągnący się po londyńskich knajpach o szczudłach z powodu połamanych nóg. Nogi połamał Miszka wtedy, gdy się zawaliło rusztowanie, które stawiał pan Henio, a stawiał je źle i po partacku. Tak, że winy Miszki nie było, tylko pana Henia, a pośrednio i Szefa, wina była, że się Miszka stał na całe życie kaleką, ale dla władz, dla ubezpieczeń, jego wina była, bo i pan Stasio i Szeff i inni pracownicy zaświadczyli i przysięgli gdzie trzeba, że rusztowanie było dobre, a Miszka - pijany i wprost robił wszystko, żeby złamać deskę, na której stał. Więc Miszka żadnego odszkodowania nie otrzymał i dobrze jeszcze, że mu starczą rentę przyznali, chociaż był na nią grubo za młody. Świństwo to było, świństwo ze strony tych, co krzywoprzysięgali, ale Szeff powiedział wtedy, że jak się wszystko wyda, to pana Henia zamkną. Jemu licencję budowlaną mogą odebrać, całe przedsiębiorstwo się rozleci i co będzie? Z pracą wtenczas było niełatwo, a w dodatku większość tych, co przysięgali, nie miała pozwolenia na pracę w Anglii. Co tam sobie teraz Miszka myśli nie wiadomo, ale cóż, życie jest życiem, a interes interesem.

Ale mniejsza o to. Poprosiliśmy Miszkę do stolika i piwo mu postawiliśmy jedno i zaraz drugie, a Miszka się ucieszył, bo akurat resztę drobnych na maszynie do przegrywania pieniędzy przegrał, a potem, niby od niechcienia, przypadkowo, zapytaliśmy, czy ostatnio pana Stasia w „Princess Victoria” nie widywał. Pytaliśmy delikatnie, bo od czasu tamtego wypadku z rusztowaniem Miszka pana Stasia nie lubi i mógłby nam nie powiedzieć. Ale

Miszka od razu się uśmiechnął, pianę z wąsa utarł i powiedział z zadowoleniem: A widziałem, bratcy, i to niedawno całkiem jego tutaj widziałem, jak ten sukinsyn po mordzie od Ceśka-Bandyty brał... - A jak to od Ceśka-Bandyty brał? - zapytaliśmy, - jak Cesiek ze swoim pijaństwem na prowincji się ukrywa? - A on się i ukrywa dalej - powiedział Miszka - ale tak sobie na urlop do Londynu wyskoczył, do jednej baby, która w tym samym domu, co i ja mieszka, i z którą on bigamiczne małżeństwo stara się popełnić, bo wszak żonę ma w Polsce, ale co mu z takiej żony, która daleko. Nu dobrze, przyjechał on do niej, ale przecież z babą przez cały dzień bez przerwy nie uleżysz. Tak on zachodzi pewnego dnia do mnie i powiada: „Słuchaj Miszka, a ty by się czego ze mną nie napił? Nie wyskoczyłby ty gdzie rozerwać się, ludzi zobaczyć”? „A czemu ja nie miałbym z tobą wyskoczyć? Bardzo chętnie wyskoczę”. I już swoje laski biorę z kąta i idziemy, gdzie najbliżej, znaczy do „Princess Victoria”. No, wypiliśmy my sporo, piwo, whisky mieszały, aż tu nagle wtacza się ów Stasio, pijany w drebiegi, pewno od Greków z karcianego klubu wyszedł i do nas się przysiada. Coś tam postawił i zaraz dysputę polityczną z Ceśkiem zaczyna. „Tys - mówi - Cesiek dobrze zrobił, że nawiałeś, co masz nędzę cierpieć, komunistom za marny grosz się wysługiwać. Tutaj, bracie, pieniądze możesz zarobić jak byś nie pił”. I tak dalej i dalej w tym sensie. Patrzę, a Cesiek zły się jakiś robi, ale nie, milczy. A Stasio dalej swoje i dalej. W końcu Cesiek coś mu tam odpowiedział, nie wiem dokładnie, ale chyba za Polskę, a na to Stasio się zacietrzewił i krzyczy: „A ja na tę waszą dzisiejszą Polskę pluję, wiesz, pluję, o tak, pluję!” I napluł na środek stołu. No to Cesiek wstał, strzelił go w pysk - całe oko na fioletowo - odkręcił się na pięcie i wyszedł. Tu krzyk, Stasio leży na podłodze, krew mu z nosa leci, krzesło złamane, pomocnik menadżera przyleciał i do mnie: jakich łobuzów mu naprowadzam! A ja powiedziałam, że to ot, przechodzień, nieznajomy, po drodze mu było, do baru wstąpił, do mnie się przysiadał. A że Stasio mu naubliżał to i w mordę strzelił. Żeby był sam menadżer wtenczas w lokalu. Ceśka by poznał i na policję doniósł. Ale pomocnik pracuje niedawno, więc uwierzył i jakoś się wszystko załagodziło. Tylko nie dla Stasia - zakończył Miszka i uśmiechnął się złośliwie. - On ma już tutaj wstęp zakazany na zawsze.

Tak oto wyjaśniliśmy z Witkiem sprawę w sposób prosty i nieskomplikowany. Menadżera nasze wyjaśnienia nie usatysfakcjonowały, ale i tak po pewnym czasie zdjął z pana Stasia i jego znajomych anatemy - ostatecznie życie jest życiem, a byznes biznesem.